

Opracowanie i wybór
Irena Kotowicz
Warszawa

PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WRZEŚNIA 9. PUŁK UŁANÓW MAŁOPOLSKICH NA WOJENNYM SZLAKU Cz. II

Szosa z Poznania i bocznymi drogami ciągnęli od rana uciekinierzy. Było ich wieczorem już tak dużo, że tworzyli nieprzerwany łańcuch wozów i bryk; ciągnęli ręczne wózki, nawet taczki, szli pieszo z tobołami na plecach. Pomiędzy nimi z trudem torowały sobie drogę poprzerywane oddziały piechoty (14 dywizji), grupki policji, straży celnej i inne. Po prostu całe zachodnie Poznańskie, poruszone odwrotem naszych wojsk, uchodziło na wschód kraju. Gdyby dołączyło się jeszcze wschodnie Poznańskie – sytuacja mogłaby stać się groźna dla wszelkich ruchów wojsk i ich taborów.

Próbujemy ludziom tłumaczyć i zatrzymać ich, ale wszędzie otrzymujemy tę samą odpowiedź: uciekają na rozkaz podany przez rozgłośnię warszawską. Prawda to czy inspiracja niemiecka? – nie wiemy. A tłum jest u granic paniki. Wokół łuny pożarów po bombardowaniu, Gniezno w płomieniach, powietrze huczy od lecących samolotów, a od czasu do czasu pojawia się jakiś niemiecki myśliwiec i przejeżdża seriami ckm po drodze. Gdy zapadł zmrok, rozlegały się coraz pojedyncze strzały karabinowe lub małe serie z pistoletów maszynowych. Tym razem była to chyba rzeczywiście V kolumna.

Ruszyło niestety i wschodnie Poznańskie, wśród pożarów i bombardowań, przemieszane z taborami i opóźnionymi oddziałami wojska. *My w tym morzu ludzkim dawaliśmy sobie radę idąc głównie na przelaj, ale bez żadnego zaopatrzenia. Nasze tabory bojowe wysłane naprzód, ugrzęzły gdzieś w tłumach – i zostaliśmy bez kuchni.*

Pomimo wyczerpania koni i ludzi byliśmy wściekli z bezsilności. Widzieliśmy, że coś przebiega nie tak jak być powinno, a nie byliśmy w stanie temu zaradzić. A jeśli tak jest w całym kraju – to co będzie? Najchętniej byśmy się wreszcie bili, ale byliśmy znów bez styczości z nieprzyjacielem.

* * *

13 i 14 września, idąc w straży tylnej, nasi ułani kierują się na Kutno, gdzie wyminęli wojska armii i wysunęli się na czoło. Gen. Skotnicki z

resztą swej brygady pozostał w osłonie armii, a oni otrzymali rozkaz połączenia się z Brygadą Wielkopolską i jako Grupa Kawalerii pod dowództwem gen. Abrahama – mają otworzyć przez Puszcę Kampinoską drogę dla armii na Warszawę.

Dopiero tu dowiadują się, że Warszawa broni się otoczona od kilku dni ze wszystkich stron. *My zaś pływamy w morzu sił nieprzyjacielskich i mamy przebijać się obecnie do stolicy, aby wzmocnić jej obronę. Cała powaga i groza położenia staje się dla nas jasna.*

Późnym wieczorem docierają do skraju Puszczy Kampinoskiej nad Bzurą. Nad rzeką zostają gen. Abrahama, który organizuje przeprawę. Mostu nie ma, jest tylko głęboki bród o stromym brzegu po przeciwnej stronie rzeki, dostępny jedynie dla konnych. Płk Rudnicki melduje się u generała po rozkazy, który wyjaśnia mu położenie. Wydaje się, iż między Modlinem a Warszawą (tj. na kierunku Puszczy) siły niemieckie są słabe, tedy więc będą przebijać się do stolicy.

Grupa Kawalerii otrzymała zadanie opanowania całej puszczy Kampinoskiej, wyrzucenia nieprzyjaciela (gdyby w niej był) i zabezpieczenia wyjścia z Puszczy na Warszawę dla całej armii, która będzie przechodzić stopniowo przez Bzurę i grupować się w puszczy.

Bory kampinoskie ciągną się od Bzury prawie po szosę Modlin-Warszawa dwoma długimi (ok. 20 km) językami, oddzielonymi od siebie 2-3 km pasem bagnistych łąk, z kilkoma zaledwie groblami łączącymi oba te języki. Puszcza daje doskonałe warunki osłony przed lotnictwem, może i czołgami przeciwnika, oraz stwarza szansę podejścia do Warszawy.

Gros sił Grupy Kawalerii przepравиło się już przez Bzurę i poszło północnym językiem leśnym. W języku południowym znajdował się 15. Pułk Ułanów Poznańskich jako ubezpieczenie prawej flanki. Główną troską dowódcy jest flanką południową, gdyż główne siły niemieckie znajdują się na tym właśnie kierunku.

Zadaniem 9. Pułku Ułanów Małopolskich jest więc wzmocnienie ubezpieczenia od południa i w tym celu bezzwłoczne przeprowadzenie się przez Bzurę.

Było już zupełnie ciemno, gdy rozpoczęliśmy przeprawę. Woda sięgała powyżej tybinek u siodła, a zmęczone konie z trudem wdrapywały się na stromy brzeg. O przejściu wozów i kuchen mowy nie było. Pozostawiliśmy je na przeprawie w nadziei, że może za dnia uda się znaleźć lepszy bród lub przepравиć mostem pod Sochaczewem, jeśli przeciwnik pozwoli.... Kierowcy zaproponowałem porzucenie łazika, do którego i tak nie było już benzyny i przesiądnięcie się na taczankę. Z oburzeniem odrzucił moją radę: "Pan pułkownik może być spokojny, że ja do Warszawy tym łazikiem taki przyjadę". Pożegnałem go więc życząc powodzenia, w które oczywiście nie wierzyłem.

Cały wysiłek położyli ułani na przeprawę działek ppanc i taczanek, wyciągając je z wody linami. Po półtoragodzinnej ciężkiej pracy znaleźli się wreszcie komunikiem¹ na drugim brzegu i zagłębili w lasy, kierując się do południowego języka Puszczy Kampinoskiej.

W lesie zrobiło się tak ciemno, że niepodobieństwem było maszerować konno, tym bardziej, że w każdej chwili można było natknąć się na Niemców. Pułkownik spieszył więc nakazał ułanom - czołowego 4-tego szwadronu - założyć bagnety na broń i poszedł ze szwadronem w straży przedniej. Reszta pułku, prowadząc konie w rękę, posuwała się za nimi. Dowódca szwadronu, rtm. Poborowskiemu, nakazał posuwać się jak najciszej, a w wypadku najścia na Niemców wybić ich bagnetami i granatami ręcznymi. W tym lesie nie spodziewano się dużych sił nieprzyjaciela.

Kiedyśmy już ruszyli, podszedł do mnie Poborowski i z rozpaczą w głosie przyznał się, iż pozostawił granaty ręczne na wozach za Bzurą. Usłyszał na to parę cierpkich słów i to, co mogło być z nas najgorszego: Czyżbym już nie mógł na tobie polegać? A może ty i twój szwadron jesteście już zmęczeni i nie chcecie się dalej bić?

W tym bezgranicznym zmęczeniu, jakie wszyscy odczuwaliśmy, pytanie to było wprost nieludzkie. Poborowski tylko cicho zameldował, iż postara się mnie przekonać, że można na niego liczyć. W trzy dni po tym zginął. Przekonał mnie – niestety!

Ruszyli dalej wolno i ostrożnie, coraz to przystając i nasłuchując. Jediną ich szansą było przecież niepostrzeżone podejście do przeciwnika na odległość bagnetu i wyklucie go, zanim zorientuje się co zaszło.

Wkrótce jednak okazało się, że i to stało się zupełnie nierealne. Ogarniało bowiem wszystkich potworne znużenie. Nieludzki wysiłek ostatnich kilku dni, a teraz pieszy marsz po piaszczystym leśnym trakcie w ciemnościach spowodował, że ułani przy każdym zatrzymaniu się by nadśłuchiwać, walili się na ziemię i zasypiali kamiennym snem. W takich warunkach nie można było nawet marzyć o walce na bagnety. Rtm. Poborowski biegał od jednego ułana do drugiego, wymacując w ciemności leżące postacie w tragicznym wysiłku podrywania ich do dalszego marszu, nie będąc ani przez chwilę pewnym czy wszyscy idą, i czy w półśnie, w jakim się znajdują, będą zdolni spełnić zadanie straży przedniej. Pułkownikowi zaś włosy jeżyły się na głowie z obawy, czy to samo nie dzieje się z koniowodnymi i resztą pułku prowadzącą konie w rękę. – *A może my sami tylko wlecemy się pchani siłą woli i obowiązku, kilku wytrzymalszych fizycznie dowódców, a reszta pułku zapadła w sen półprzytomny, rozciągnięta wzdłuż całej leśnej drogi, którą przebyliśmy?*

Nie było zatem innej rady, jak tylko zebrać pułk razem i zatrzymać się gdzieś by trochę odpocząć. Byle tylko wejść głębiej w język leśny i w

¹ Kawaleria, konnica bez taborów i armat. (Przyp. Red.).

jakieś szersze jego miejsce, dające większe możliwości ukrycia się przed przeciwnikiem. Po przebyciu jeszcze kawałka drogi takie miejsce znaleźli i ustawiając strażę wokół, wprost runęli na ziemię.

Dzień już się zrobił, gdy cały pułk ściągnął wreszcie na wybrany postój. Rozebrano w mig jakiś leśny stóg siana, ułani rozkiełznali konie i zaczęli je karmić. Ktoś odkrył w lesie opóźnioną kuchnię polową 15. Pułku Ułanów, w której było jeszcze pół kotła obiadu. Podzielili się sprawiedliwie każdemu po trochu, bo było to jedyne pożywienie, które mogli otrzymać.

Około godziny 8-mej alarm! Padają pojedyncze strzały z obu brzegów języka leśnego, w środku którego tkwili. Po chwili patrole dały znać, że w przerwie pomiędzy nimi a językiem leśnym, którym przeszły pozostałe pułki Grupy Kawalerii – znajdują się grupki piechoty niemieckiej podchodzące już do lasu. Od południa zaś duktem leśnym wprost na nich idą czołgi i piechota. A równocześnie tuż za nimi, prawie dotykając koron drzew, atakuje ich karabinami maszynowymi samolot. Jest tak nisko, że strzelają doń z karabinów i pistoletów chyba dość skutecznie, gdyż po dwukrotnym nalocie więcej się nie pokazał. Pozostawił kilku rannych.

Tymczasem nasze działko panc zaczęło się na dukcie, którym szły czołgi. Stoję tuż przy działku i widzę dobrze co się dzieje. Celowniczy z okiem przy celowniku mierzy w punkt na dukcie, nie dalszy jak 80 kroków. Tyle naszego horyzontu, dalej piaszczysta wydma przesłania nam widok. Działko jest źle zamaskowane, nie było czasu. Pojedynkę będzie zależał od tego, kto kogo prędzej dostrzeże.

Słychać wyraźnie szum motorów, czołgi są coraz bliżej. Wreszcie zza wydmy wysuwa się wieża pancerna. Strzały z obu stron padają równocześnie. Widzę wyraźnie dziurę w wieży i czołg znika za zasłoną, zaś strzał nieprzyjaciela jest za krótki i pocisk uderza tuż przed nasze działko. Celowniczy dostaje odłamkiem w nogę. W kilka sekund jest po zabawie, słyszymy jak czołgi oddalają się i znowu zapanował spokój. Od południa wiadomości też dobre. Jest tam szwadron Bieleckiego². Wyrzucili Niemców z lasu na otwarte pole, gdzie zalegli w tyralierze i ostrzeliwują się.

Ułani nie ryzykują drugiego natarcia Niemców, dosiadają koni i ruszają na wschód. Rannych opatrzył lekarz, dr Paczkowski i pozostawił w leśniczówce pod opieką żony gajowego. Nic więcej nie można było dla nich zrobić.

Tym razem w straży przedniej idzie rtm. Bielecki, wprost na wyjścia z lasu na kierunku Błonie, do których jest jeszcze kilkanaście kilometrów. W straży tylnej pozostaje rtm. Poborowski.

² Rodzina była spokrewniona z Marią Konopnicką. Syn rotmistrza jest prawnikiem Poetki. (Przyp. Red.).

Wkrótce okazuje się, że idą jakby w rękaw pułapki. Wszędzie wzdłuż południowego brzegu lasów jest pełno Niemców. Zapewne ciągnęli się aż pod Warszawę i dawno ułanów wyprzedzili. Na północ, w przerwie między dwoma pasami puszczy są także, ale raczej nieliczni i bierni. Prawdopodobnie są to resztki wyrzucone z północnego języka, pragnące przebić się do swoich wojsk na południe. Zalegają na łąkach i nie ryzykują wejścia do lasu.

Gorzej jest od tyłu. Poborowski tym razem otrzymał znacznie silniejsze uderzenie czołgów. Rozbił dwa, ale stracił jedno działko, które mu czołg wprost rozjechał, wybijając z cekaemów obsługę. Z trudem oderwał się i ostrzeliwując się, powoli posuwa się za nami.

Położenie jest niewesołe, do tego nadlatuje kilka bombowców. Idą kluczem wprost nad lasem i za chwilę lecą bomby. Szczęśliwie żadna nie trafia w nasyp kolejki wąskotorowej, po którym posuwają się ułani. Sypią się gdzieś w las, a może w bagna.

Ułani – idąc ciągle naprzód - pchają się w ten worek-pułapkę, bo innego wyjścia nie ma. Około godz. 17-tej rtm. Bielecki melduje, iż doszedł do końca lasu i zastał wyjścia przez Niemców zamknięte. Próbuje nacierać...

Jesteśmy w pułapce! Jediną szansą jest przebić się do przodu, i to szybko, dopóki nas nie rozjadą czołgami od tyłu. Toteż galopuję sam do Bieleckiego i ciągnę za sobą 3-ci szwadron Ksyka dla wsparcia. Reszta pułku pod dowództwem mjra Tomaszewskiego ma razem z Poborowskim zatrzymać przeciwnika, i w ten sposób osłonić naszą akcję od tyłu.

c. d. n.

*Tadeusz Swinecki
Grybów*

Nie odnalazłem Puźnik na Podolu...

Wspomnienia

Cz. V (ostatnia)

Początki wolności były dla nas bardzo trudne. Nie było co jeść. Chodziliśmy z żoną po wsi, doszliśmy chyba aż do Szczawnika, gdzie Wanda swoje złote kolczyki wymieniła na chleb, upieczony z owsa i jęczmienia, ale był pożywieniem. Dwa złote kolczyki - za okrągły chlebek! Trzeba było jednak jakoś przetrwać ten ciężki czas, wymieniając na żywność co się tylko dało. Rodzice Wandy jeszcze coś wygrzebywali ze swojej skrzyni, starając się zdobyć pożywienie dla naszych dzieci.

Armia radziecka zmierzała już do Berlina. Zaczęliśmy się zastanawiać nad przyszłością. Przede mną były dwie drogi: pójść do pracy, bo ludzi brakowało także w leśnictwie, albo wrócić na studia. Wszyscy opowiedzieli się za tą drugą koncepcją.

Pojechałem więc (z przygodami) do Warszawy, odebrałem w sekretariacie SGGW swoje dokumenty (indeks, metrykę urodzenia, świadectwo dojrzałości), które szczęśliwie ocalały i kontynuowałem studia. Ukończyłem je w czerwcu 1947 r. z dyplomem inżyniera leśnika – magistra nauk agrotechnicznych. Żona moja podjęła w międzyczasie pracę nauczycielki w Wojkowej koło Krynicy.

Po dyplomie zatrudniony zostałem w Państwowym Nadleśnictwie Muszyna, początkowo jako praktykant techniczno-leśny, następnie jako adiunkt. Przyjęcie do pracy wymagało złożenia odpowiednich dokumentów. Oprócz odpisu dyplomu i metryki urodzenia żądano świadectwa obywatelstwa polskiego. We wrześniu 1947 r. złożyłem więc prośbę do Starostwa powiatowego w Nowym Sączu o wydanie mi takowego dokumentu. Po kilku dniach zostałem zaproszony telefonicznie do urzędu. Przyjął mnie tam p.o. starosty mgr Celewicz i wręcz zapytał: *Jakim prawem stara się pan o obywatelstwo polskie, skoro jest pan urodzony w Kijowie?*

Próbowałem wytłumaczyć mu, że moi rodzice są Polakami i ja jestem Polakiem. Mama pochodzi z Warszawy a ojciec z woj. łódzkiego. Ale w odpowiedzi usłyszałem: *Dobrze, ale niech pan postara się to udowodnić, gdyż inaczej świadectwa obywatelstwa polskiego pan nie otrzyma. Mam zarządzenie, które mówi, że wszyscy powinni wrócić po wojnie do miejsca swego urodzenia.*

Byłem przerażony. *Panie Starosto – tłumaczyłem – my w czasie wojny zmienialiśmy ze dwadzieścia razy miejsce zamieszkania. Mam teraz pakować walizki i jechać do Kijowa, który jest mi całkiem obcy? – Trudno, niech pan postara się znaleźć jakieś dokumenty świadczące o pana polskim pochodzeniu – usłyszałem.* Wróciłem do Muszyny, zrelacjonowałem rodzinie całą rozmowę w starostwie, i zacząłem grzebać w odziedziczonych po ojcu dokumentach. Znalazłem zaświadczenie, iż ojciec był synem powstańca z 1863 r., ale to chyba za mało. Znalazłem jeszcze stary, tymczasowy dowód osobisty ojca, w którym napisano, że urodził się w Konstantynowie i zapisany został w księgach ludności gmi-

ny Lipie, wieś Parzymiechy nr 75 – 1034. Chwyciłem te dwa dokumenty i pojechałem ponownie do Nowego Sącza. Pan starosta przyjrzał się im uważnie i stwierdził: - *O, widzi pan, tu jest napisane co potrzeba. Ojciec pana pochodzi z Polski, był Polakiem wywiezionym przez władze carskie do Rosji, wrócił do kraju, więc pan też jest Polakiem.*

Uratowało mnie to przed podróżą do Kijowa. Ale na tym się nie skończyło. Kijów “odezwał się” ponownie, kiedy w 1980 roku starałem się w konsulacie USA w Krakowie o wizę. Poddano mnie tu “głębokiej i wnikliwej analizie”.

Często spotykałem się z pytaniem skąd pochodzę? Odpowiadałem zawsze “z Polski”. Bo jak inaczej? Urodziłem się przez przypadek w Kijowie, w drodze powrotnej rodziców do Polski, wychowałem na Pomorzu, w Bydgoszczy uczęszczałem do szkoły i ukończyłem klasyczne gimnazjum (8 lat z łaciną i 4 lata z greką). Studia odbywałem i ukończyłem w Warszawie, a okres wojny spędziłem na Podolu, które pokochałem i gdzie znalazłem żonę, a po wojnie osiadłem w Nowosądeczczyźnie (poza 11-letnim okresem pracy w Piotrkowie Trybunalskim) i tu przebywam do dzisiaj, udając beskidzkiego Górala. Inaczej przedstawiać się nie mogę.

* * *

Potrzeba było jeszcze wielu lat na to, abym mógł zrealizować swoje marzenia i zobaczyć te miejsca, w których przebywałem podczas wojny pod jedną i drugą okupacją, i gdzie poznałem i pokochałem dobrych i szlachetnych ludzi. A dzięki Opatrzności Bożej oraz ich pomocy – przeżyłem.

Dopiero w lipcu 2001 r. udało mi się to moje pragnienie zrealizować dzięki mojej Córce Bożence, która ciężar tej wyprawy wzięła na siebie i była moim dzielnym towarzyszem.

Wcześniej, dzięki sekretarzowi PTTK w Nowym Sączu p. inż. Jądwidze Wawro (niestety już nie żyjącej), nawiązałem kontakt z mieszkającym we Lwowie p. Antonim Młodnickim, który nie tylko zgodził się udzielić nam gościny ale także pojechać z nami swoim samochodem wszędzie, gdzie zechcemy. I tak się stało.

Po przyjeździe do Lwowa ruszyliśmy już następnego dnia w dalszą drogę. Przez DROHOWYŻ, (w którym Ojciec Kosiński pracował w latach 20-tych u hr. Skarbka) i DROHOBYCZ – do DOLINY. Tu uczestniczyliśmy w popołudniowej mszy św. dla licznej grupy młodzieży z Polski. Ks. proboszcz, mając tyle gości u siebie, skierował nas na nocleg do państwa Wysockich. Następnego dnia przez STANISŁAWÓW, KOŁOMYJĘ, KOSÓW i KUTY pojechaliśmy do HRYNIAWY. Droga nad Czarnym Czeremoszem była jeszcze możliwa, ale nad Białym Czeremoszem była ta-

ka jak przed wojną, bardzo wyboista i wymagająca nadzwyczaj ostrożnej jazdy. W Hryniawie przenocowaliśmy u gościnniej Hucułki Oksany, która skontaktowała mnie z Mykołą Fedorczukiem, mniej więcej moim rówieśnikiem.

Fedorczuk przypomniał sobie leśniczego Antoniego Boskiego z Hostowca (bliskiego krewnego mojej śp. żony), u którego woził drewno z lasu. Twierdził, że na fundamentach nadleśnictwa stoi teraz inny dom, natomiast leśniczówka przestała istnieć.

W obawie przed nadciągającą burzą wyjechaliśmy z Hryniawy, kierując się przez Czerniowce do Kamieńca Podolskiego. Zatrzymaliśmy się na plebanii przy katedrze. Ta "Perła na Kamieniu" urzekła mnie swoim pięknem. W ciągu dwudniowego pobytu zwiedziliśmy miasto, dawną warownię, katedrę z minaretem. Byliśmy także w Chocimiu, gdzie twierdza jest również w remoncie. Stojąc na wzgórku, na próżno wypatrywałem na Dniestrze "czajek" kozackich, a w nadciągającej burzy grzmot "przetaczał się z jednego krańca Rzeczypospolitej na drugi" (Sienkiewicz).

Zdziwienie wzbudzał fakt podwójnej ceny biletu wstępu do twierdzy dla Polaków, tak w Kamieńcu jak i w Chocimiu. Tego na całym świecie nie ma. Wygląda to na dyskryminację.

Z Kamieńca skierowaliśmy się do MIELNICY. Kościół, w którym braliśmy z Wandą ślub, stoi zabity deskami a boczne okna są częściowo zamurowane. Sowietci urządzili w nim kino, a obecne władze podobno nie wiedzą co z nim zrobić. Księdza i wiernych brak.

Przez IWANIE PUSTE, GERMAKÓWKĘ dojechaliśmy do UŁASZKOWIEC. Ze znanych mi obiektów stoi tu kościół z "oczodołami" po oknach, popadający w ruinę oraz kawałek stajni na konie w miejscu, gdzie był dawniej folwark. Po nadleśnictwie i budynku, w którym mieszkaliśmy, nie ma śladu.

Do ROSOCHACZA nie pojechaliśmy ze względu na złą drogę. Przez CZORTKÓW, BUCZACZ pojechaliśmy natomiast do JAZŁOWCA, gdzie przenocowaliśmy u Sióstr Niepokalanek w zajmowanym przez nie budynku. Oczywiście to już nie te zabudowania klasztorne, które pamiętam.

Z Jazłowca pojechaliśmy szukać PUŻNIK. Na **obecnej polskiej** mapie turystycznej nie ma ich wcale. Znaleźliśmy Pużniki na mapie ukraińskiej p. Antoniego. Na miejscu okazało się, jednak, że te Pużniki leżą w obrębie pow. Tłumacz, i nie są tymi, które udzielały nam schronienia w czasie wojny. Ze względu na limit czasu musieliśmy zrezygnować z dalszych poszukiwań i ruszyliśmy w powrotną drogę do Lwowa.

Byliśmy tu na Cmentarzu Łyczakowskim, gdzie mogliśmy złożyć hołd naszym Rodakom – Marii Konopnickiej, Arturowi Grottgerowi (w pewnym stopniu związanym z Grybowem, w którym mieszkam), Sewerynowi Goszczyńskiemu i Julianowi Ordonowi. Nie mogliśmy nie być na

Cmentarzu Orłat – ciągle jeszcze w odbudowie. Mam zdjęcia tego cmentarza sprzed wojny i stwierdzam ze smutkiem, że odbudowa w wielu szczegółach odbiega od tego co było.

Na tym mógłbym zakończyć. Nie mogę jednak oprzeć się potrzebie określenia moich wrażeń i przeżyć. Są one bolesne. Pozostały fotografie i filmy nakręcone przez Córkę.

Serce odczuwało konieczność odwiedzenia drogich miejsc i odszukania śladów przeszłości. Czas, a przede wszystkim źli ludzie zrobili swoje. Utwierdziłem się w przekonaniu, że Sowieci zacierali starannie ślady polskości na tej ziemi, a nacjonaści ukraińscy – bestie w ludzkim ciele – wymordowali pod koniec wojny i po wojnie tysiące niewinnych ludzi, bezbronnych kobiet i dzieci, tylko dlatego że byli Polakami. Potwierdza się to choćby na przykładzie Puźnik w pow. buczackim.

W poszukiwaniu prawdy trafiłem do Klubu "Podole" w Warszawie, i dzięki Pani Prezes Irenie Kotowicz otrzymałem ją: w ciągu jednej tylko nocy, 13 lutego 1945 r., banderowcy wymordowali w Puźnikach 120 osób. Jakże tragiczna jest w swej wymowie "Ballada Puźnicka"³. Na otrzymanym wykazie pomordowanych Puźniczan znajduję nazwiska ludzi, których znałem osobiście. Miejscowość została dosłownie starta z powierzchni ziemi.

Ale Puźniki znajdują się na przedwojennej mapie Podola...

Zbigniew Kratochwil
Warszawa

ZAGŁADA POLSKIEJ WSI HUTA PIENIACKA

Nie można pominąć największej zbrodni tego okresu. Dotyczy Huty Pieniackiej, położonej niedaleko Podkamienia. Tragedia Polaków w Podkamieniu zakończyła się w marcu 1944 r. Ale jeszcze pod koniec lutego ukraińscy bandyci ze swoimi niemieckimi mocodawcami postanowili doprowadzić do zagłady tej polskiej wsi. Polacy usiłowali stworzyć samobronę organizowaną przez AK. We wsi obozowała w lutym silna sowiecka jednostka partyzancka. Gdy w połowie lutego Niemcy z Ukraińcami przeprowadzili atak na wieś, zostali z dużymi stratami odparci. Niestety, partyzanci sowieccy opuścili Hutę na trzy dni przed końcem lutego, co okazało się tragiczne dla obrońców, ponieważ dysponowali bardzo

³ Autorstwa jednego z ocalałych Puźniczan, p. Edmunda Działoszyńskiego. (Przyp. Red.).

słabą załogą. Wrogowie byli o tym dobrze poinformowani i w nocy z 27 na 28 lutego ruszyło potężne natarcie niemiecko-ukraińskie na wieś, przy użyciu oddziałów SS-Galizien ściągniętych ze Złoczowa, Brodów i Sasowa. W akcji tej brała też udział artyleria, moździerz, a nawet samolot.

Wieś została otoczona. Wśród ludności powstała nieopisana panika. Wszystkie zabudowania płonęły. Rozpoczęło się ludobójstwo. Wymordowano do 1300 mieszkańców, w tym niewielką liczbę Żydów i rannych partyzantów sowieckich.

Mord był okrutny. Nie szczędzono ani niemowląt, ani starców. W okropnej skali zabijania wyróżniali się ukraińscy "rizuni". Ruina wsi była kompletna, zniszczono 172 zabudowania. W miejscu kwitnącej wsi pozostała pustynia. Przedtem upowcy wymordowali i spalili część mieszkańców, którzy schronili się w kościele.

Obrońca wsi, Władysław Górski, żołnierz AK, który należał do trzyosobowej obsady rkm, tak opisuje przebieg bitwy.

Nacierali na nich Niemcy. W pewnym momencie ginie strzelec trafiony w same usta. Pada kolejny strzelec trafiony serią pocisków. Górski rzuca ostatni granat, ale i on sam jest trafiony odłamkiem. Widząc zbliżających się wrogów, smaruje twarz krwią kolegi i kładzie się na ziemię. Powonieniem czuje pastę do butów nadchodzącego Niemca, który stwierdził lakonicznie: *Alles kaputt!* i odszedł. Szczęśliwie uratował się też obrońca przeszyty serią kul, odzyskał przytomność po sześciu godzinach. Zasklepił rany po kulach razowym chlebem i przeżył! W tym samym czasie nadeszły wojska sowieckie i zaopiekowały się rannym. Nazywał się Jan Podgórski, walczył później w wojsku polskim i dotarł do Berlina. W Hucie stracił całą 3-osobową rodzinę, zaś Władysław Górski najbliższą rodzinę i krewnych - razem 5 osób.

Polacy, którzy jakimś cudem ocalili z tego pogromu, usiłowali zabitych pogrzebać przewożąc ich saniami lub przenosząc na noszach do wspólnej mogiły koło kaplicy. Ale Ukraińcy przeszkadzali im w tym, ostrzeliwując z daleka. Pogrzebano więc tylko część ofiar. Zwłoki pozostałych, spalone lub pokiereszowane, leżały jak na poboju. Nadleciały chmury kruków. Zrobiło się wręcz czarno na niebie i na ziemi. Widok był niesamowity, istny horror w makabrycznym wydaniu...

Trzeba podkreślić, że w tym czasie wojska sowieckie w zasadzie nie broniły Polaków przed Ukraińcami, którzy długo jeszcze popełniali zbrodnie, właściwie aż po akcję "Wisła" czyli dwa lata po zakończeniu II wojny światowej.

Kończąc historię zagłady wsi Huta Pieniacka nie można pominąć późniejszych wydarzeń. Podczas odwilży politycznej za rządów Gorbaczowa zmieniło się nastawienie do zbrodni władz lokalnych Brodów i Lwowa. Przeprowadzono przewód sądowy i wykazano, że zbrodni doko-

nali ukraińscy żołnierze 14. ochotniczej dywizji SS-Galizien, dowodzonej przez Niemców oraz bojówki spod znaku OUN-UPA.

Ustalono liczbę zamordowanych mieszkańców Huty Pieniackiej na ponad 1000 osób i zniszczenie 172 gospodarstw, o czym informują tablice. Ocalał tylko kościół i 6 budynków, które w wolnej już Ukrainie zostały zniszczone do fundamentów. W masakrze brali udział ze strony ukraińskiej m. in.: Petro Bateńczuk, Bazyl Hnat Dowhań, Wołodymyr Huziuk, Myron Jakubowśkyj, Josyp Kołocz, Hryhoryj Kocz, Iwan Melnyk, Teodor Melech, Wasyl Smatyj, Hryhoryj Szczerbatyj, Petro Żarkiwśkyj. Ci, którym udowodniono udział w mordowaniu, zostali pociągnięci do odpowiedzialności karnej, ale otrzymali niezbyt wysokie wyroki.

Nigdy jednak nie zaznaczono, że ofiarami zagłady padła ludność polska. Nie stać było na to sądu.

Dzięki ludziom ocalałym z pogromu, np. Władysławowi Górskiemu oraz Kazimierzowi Woskowskiemu – konsulowi polskiemu we Lwowie, postawiono na miejscu zbrodni pomnik, a potem obelisk z tablicami informującymi o jej popełnieniu.

Niestety w wolnej już Ukrainie nacjonałiści zniwelowali teren po Hucie Pieniackiej, i nie pozostało po niej śladu.

To, o czym napisałem, nie ma na celu jątrzenia w stosunkach polsko-ukraińskich, ale nie można pozostawić bez reakcji morderczych wy czynów nacjonalistów spod znaku SS-Galizien, OUN i UPA. Tę plamę usiłował zmyć z narodu ukraińskiego b. prezydent Leonid Krawczuk. Bezskutecznie! Nowy prezydent, Leonid Kuczma powinien prosić Polaków o przebaczenie tak, jak zrobił to prezydent niemiecki Herzog, ale dotychczas tego jeszcze nie zrobił.

Ale i Polacy, tacy dzielni w bojach i wojnach, wykazują dziwne zahamowania i obawy natury politycznej. Jakiś lęk zagłada w oczy decydom i politykom z prawa i z lewa. Dotyczy to również wielu uratowanych z zagłady, części polskiego kleru, historyków, ludzi kultury itd. (Podkreślenia red.).

Polakom pomordowanym okrutnie przez nacjonalistów ukraińskich należy się hołd i utrwalenie ich męczeństwa w **pamięci całego narodu**. Niech sprawa Katynia i innych zbrodni, o mniejszym często wymiarze, nie będą jedynymi wyjątkami. My również nie chcemy, aby słowo Ukraińiec, naszego sąsiada, pozostało synonimem mordercy.

Nie można tu pominąć ukraińskiego historyka i publicysty, dr Wiktora Poliszczuka. W swej książce "Gorzka Prawda" przedstawił i potępił w sposób bezstronny zbrodniczą działalność ukraińskich organizacji nacjonalistycznych o wyraźnym zabarwieniu faszystowskim, jak OUN i UPA, na dawnych Kresach. Oprócz wymienionego tytułu ukazały się jeszcze inne jego prace o tej tematyce. Chwała temu człowiekowi, który odważył się mimo ogromnych nacisków współczesnych nacjonalistów

ukraińskich, na Ukrainie i na emigracji, na publikację tak wartościowych dzieł.

I jak na tym tle wygląda znaczna część historyków polskich, uważających siebie za wybitnych, a pewnie i bezstronnych uczonych unikających jak ognia problemu wymordowania na Kresach Wschodnich kilkuset tysięcy ludności polskiej.

Było kilka przypadków, gdzie w ramach samoobrony, a może i odwetu, polscy partyzanci wybili ukraińskich mieszkańców jakichś wsi (np. tak często wymieniana przez D. Baliszewskiego i prof. K. Kersten wieś Wierzchowina), ale była to kropla w morzu przelanej krwi w setkach wsi polskich na Wołyniu i województwach: lwowskim, stanisławowskim i tarnopolskim.

Ukraińscy nacjonałiści mordowali zresztą także "niepokorne" wsie ukraińskie. I tak np. w wołyńskiej wsi Dermań⁴ zamordowali 500, a we wsi Różyszczce 800 Ukraińców.

Wiesław Barczyk
Warszawa

Poświęcenie kościoła p. w. św. Anny w Skałacie w woj. tarnopolskim

26 lipca 2002 roku odbyła się o godz. 12-tej uroczystość poświęcenia zbudowanego od nowa parafialnego kościoła rzymskokatolickiego w Skałacie. Odbyło się to bardzo uroczystie. Mszę św. celebrował i konsekracji świątyni dokonał w imieniu Jego Eminencji kard. Mariana Jaworskiego - Metropolity Lwowa, biskup pomocniczy Marian Buczek w asyście 20 kapłanów pracujących na tamtejszym terenie, w obecności przedstawicieli Kościoła grekokat. i Cerkwi prawosławnej. Obecni byli też przedstawiciele miasta, z merem p. Natalią Stankowską na czele, oraz liczne siostry zakonne pracujące w sąsiednich parafiach.

Mimo, iż uroczystość odbywała się w dzień powszedni (dzień pracy), do kościoła przybyło bardzo dużo wiernych ze Skałatu i okolicznych

⁴ B. ambasador Ukrainy w Warszawie, poeta Dmytro Pawłyczko, napisał nawet wiersz na ten temat. (Wtedy nie głosił jeszcze chwały dla UPA):

BUDESZ UKRAINO.
DOWHO PAMIATATY...
WYKOŁENI OCZI,
OCZI-ZORIANYCI.
BUDESZ PAMIATATY
DERMANŚKI KRYNYCI!

miejsowości jak: Stary Skałat, Nowosiółka Skałacka, Zarubińce, Nowe Sioło, Kołodziejówka, Podwołoczyska, a nawet z dalszych stron. Kościół nie mógł pomieścić ich wszystkich i część ludzi -mimo padającego deszczu - stała na placu przykościelnym. Świątynia zapełniła się wiernymi już na dwie godziny wcześniej i przez ten cały czas wierni modlili się, śpiewając na przemian z miejscowym chórem pieśni religijne.

Z Polski przybyły dwie grupy pielgrzymów – ludzi urodzonych w Skałacie i darczyńców. Grupa z LESZNA - reprezentowała woj. wielkopolskie, lubuskie, dolnośląskie i opolskie. Druga grupa przybyła z WARSZAWY. Przywieźli swe dary dla nowego kościoła - wysokie lichtarze ołtarzowe (Leszno) i złoty, ręcznie haftowany ornat (Warszawa).

Uroczystości rozpoczęły się od powitania przez proboszcza ks. Romana Stadnika - Popa parafii prawosławnej i Księdza greckokatolickiego, którzy przybyli wraz z procesjami swoich wiernych i z licznymi chorągwiami cerkiewnymi. Punktualnie o godzinie 12-tej proboszcz wprowadził do świątyni bp. Mariana Buczka, i przy stopniach ołtarza wygłosił mowę powitalną. Prosił w niej biskupa, o poświęcenie tego nowego Domu Bożego i nadania mu imienia patronki - św. Anny. Podczas uroczystej mszy św., odprawianej w koncelebrze z licznymi kapłanami, niektóre jej części czytane były także w j. ukraińskim (listy, Ewangelia). Wspólnie w obu językach odśpiewano także modlitwę "Ojcze nasz".

Po poświęceniu kościoła oraz powierzeniu go opiece św. Anny, po pięknym kazaniu biskupa o miłości bliźniego, procesji, oraz dziękczynnym przemówieniu końcowym proboszcza, głos zabrała pani Mer miasta Skałatu dziękując ciepłymi słowy biskupowi, proboszczowi, mieszkańcom miasta i "gościom zagranicznym" (tj. z Polski) za pomoc w budowie kościoła, który - wedle jej słów - będzie jednoczył społeczność lokalną i zwiąże ją z dawnymi, żyjącymi obecnie za granicą mieszkańcami Skałatu. Pani mer ofiarowała ks. biskupowi piękny porcelanowy wazon, wykonany specjalnie na tę uroczystość, ozdobiony herbem Skałatu i wizerunkiem nowego kościoła, a dwa mniejsze wazon (z tymi samymi emblematami) ofiarowała "przedstawicielom z zagranicy", aby w dalszym ciągu pamiętali o Skałacie. Całą uroczystość uświetniał piękny śpiew kościelnego chóru młodzieży skałackiej.

Radość i głębokie wzruszenie miejscowej ludności wyznania rzym.-kat. widoczne były na wszystkich twarzach. Widać było, że są szczęśliwi i dumni z ukończenia wspólnego dzieła, mimo, że do pełnego wykończenia kościoła jeszcze daleko. Brak posadzki, ławek i dzwonów. Ukryte w ziemi i wykopane w 1992 roku dawne dzwony, tylko częściowo nadają się do użytku. Dwa małe zachowały się w dobrym stanie, największy jest pęknięty. A ponieważ jest zabytkiem z 1925 roku, nie można go przetopić i trzeba odlać nowy.

Stąd apel i gorąca prośba do wszystkich Rodaków w Kraju i Zagranicą, zwłaszcza do b. mieszkańców Skałatu, o dalsze ofiary dla umożliwienia przeprowadzenia prac wykończeniowych.

Przypominamy konto na które można wpłacać ofiary pieniężne:

Klub TMLiKPW "PODOLE"

Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 64

PKO BP VI O/Warszawa

Nr: 46 10201068 123070314

z dopiskiem "Na kościół w Skałacie".

Jednocześnie informujemy, że potwierdzenie każdej wpłaty będzie zamieszczone w kolejnych numerach "Głosy Podolan".

Irena Kotowicz
Warszawa

“ŻOŁNIERZE WYKLĘCI”

Temat wywołała “Wędrowna Wystawa” prezentująca owych “Wyklętych”, brak oddźwięku w mas-mediach oraz zbliżające się listopadowe Zaduszki - dni pamięci o wszystkich nieobecnych...

W “Nowej Trybunie Opolskiej” (z maja br.) znalazłam jednak niewielką stroniczkę zapisaną przez K. Ogiolda w związku z wymienioną wystawą.

Kim byli?

W PRL przez lata nazywano ich “bandytami” i “sprawcami wojny domowej”. A przecież nie chcieli żadnej kontrrewolucji – mieli tylko do wyboru: walczyć lub dać się wywieść na Sybir – mówią ci jeszcze żyjący.

Chcę pisać o nich na przykładzie jednego z nich, znanego mi bliżej koledze gimnazjalnym i b. żołnierzu KEDYW-u Obwodu AK Czortków, inż. arch. Tadeuszu Czajkowskim ps. “Kotwica”.

Żołnierzem partyzanckiego oddziału “Orlika” został w marcu 1945 r., po ucieczce z obozu w Skrobowie. (O tej brawurowej ucieczce 48 śmiałków pisaliśmy już w naszych “Głosach” – nr 4 i 5).

Wraz z kolegami z oddziału partyzanckiego brał udział w najeździe na Urząd Bezpieczeństwa w Puławach w maju 1945 r., połączony z odbiciem więźniów-AK-owców. Potem walczyli w lesie stockim z oddziałami NKWD.

- *Nie byliśmy żadnymi bandytami – mówi Tadeusz dziennikarzowi z Opolą – ale za takich nas władze PRL uważały. Walczyliśmy o przeżycie. Wybór był jednoznaczny: albo my ich, albo oni nas zabiją.*

W obwodzie AK Czortków “Kotwica” walczył podczas okupacji z Niemcami – brał udział w różnych akcjach, rozkręcał tory, stosował sabotaż. A gdy za “drugich Sowietów” zmobilizowano młode roczniki do I. Armii WP, “Kotwica” znalazł się w wojsku wraz ze swoimi towarzyszami czortkowskiego KEDYW-u. Otrzymał przydział do 7. Pułku Artylerii Ciężkiej. W składzie I. Armii przekroczył Bug, na Przyczółku Magnuszewskim walczył już w stopniu kaprała, został z-cą dowódcy plutonu topograficznego przy sztabie pułku. Znaczący to chyba, że był dobrym żołnierzem.

Ale w listopadzie 1944 r., już na froncie, Informacja Wojskowa zaczęła “wyłuskiwać” z wojska żołnierzy, którzy **czynnie** walczyli w Armii Krajowej. 8 listopada aresztowany został m. in. także “Kotwica” oraz

dwaj jego bliscy koledzy⁵. Oni, i inni im podobni, byli dla Informacji Wojskowej "terrorystami" i jako tacy wywiezieni zostali do obozu NKWD w SKROBOWIE koło Lubartowa, zorganizowanego właśnie dla b. żołnierzy AK.

W obozie przebywali od listopada 1944 do marca 1945 wraz z innymi 500 AK-owcami i cichociemnymi zrzuconymi z Anglii. Obóz był kompletnie odizolowany od otoczenia, ogrodzony kilkoma rzędami drutów kolczastych. Więźniów pilnowali m. in. Polacy z Żytomierza. To dzięki nim dowiedzieli się, że przygotowywane jest wywiezienie ich w głąb ZSRR. Własne obserwacje tylko potwierdziły tę informację.

27 marca 1945 r. 48 więźniów uciekło z obozu. Po niej nie pozostało im już nic innego, jak ukrywanie się, czyli pójście "do lasu". W okolicy, do której dotarli, działał partyzancki oddział "Orlika". Odszukali go, a "Orlik" utworzył z grupy więźniów ze Skrobowa I. pluton swojego oddziału.

"Gdybym trafił do sowieckiego łagru – zwierza się Tadeusz – nie byłoby nawet komu upomnieć się o mnie. Był istotnie sam. Jego Matka zmarła jeszcze przed wojną, a Ojca – kolejarza – aresztowali w 1941 r. sowieci uchodzący przed Niemcami, wywieźli do Humania na Ukrainie i tam zamordowali⁶. Nie mając oparcia w rodzinie, młody człowiek "zakotwiczył się" w oddziale "Orlika".

* * *

Kiedy wojska radzieckie i polskie przybyły na Lubelszczyznę, "Orlik" – mjr Marian Bernaciak – przywitał je uroczyście na koniu, pod bronią – jako sojuszników.

- *To prawda, że wielu jego podkomendnych miało poglądy antykomunistyczne* – uzupełnia "Kotwicę" Regina Mac, "Ryszarda", której bracia byli żołnierzami AK, a ona działała w Wojskowej Służbie Kobiet. – *Ale walczyć z nową władzą zaczęli dopiero wtedy, gdy rozpoczęły się aresztowania i zabójstwa na kolegach.*

- *To były bardzo skomplikowane czasy* – podkreśla. Pamięta np., że gdy NKWD-zista buszował po domu w poszukiwaniu jej brata, zakwaterowani byli u nich rekonwalescenci z Armii Czerwonej. Jeden z tych rekonwalescentów – oficer radziecki – wciągnął wówczas poszukiwanego Polaka do swego pokoju i zabronił NKWD-ziście tam wchodzić. Życie mu uratował.

To były rzeczywiście znacznie trudniejsze lata niż podczas wojny. Jak długo walczone z Niemcami, było jasne kto wróg, a kto swój. Potem

⁵ Kazimierz Henchen "Tygrys" (z KEDYW-u AK Czortków) i Wilhelm Matwijewicz "Hiszpan" (z Obwodu AK Kopyczyńce).

⁶ Oleg Romaniw, Inna Feduszczak "Zachidnoukraińska tragedija 1941" Lwów – Nowy Jork 2002 r. str. 229.

nie zawsze było wiadomo. Np. zastępcę "Orlika", miejscowego nauczyciela, zastrzelił jego własny uczeń.

"Ryszarda" pełniła funkcję łączniczki. Przebywała w domu rodzinnym, a nie z oddziałem w lesie. W styczniu 1946 r. zabity został jej najstarszy brat, a ona została aresztowana. To polski oficer przykładł jej parokrotnie pistolet do głowy i kilka razy uderzył ją. Zwolniona z więzienia, wróciła ponownie do służby łączniczki. Jesienią tego samego roku, (po zdradzie jednego z kolegów), aresztowano ją ponownie. Rewizję przeprowadzali w domu żołnierze polscy, ale dom obstawiony był przez Sowietów.

- *Nawet dzieci zabieracie? Ładne mamy wyzwolenie!* powiedziała wtedy do aresztującego ją oficera. Przyznaje jednak, że ten sam oficer bardzo jej pomógł. Ostrzegał przed niektórymi śledczymi i radził głośno krzyżeć, gdyby przesłuchujący ją funkcjonariusze- Żydzi próbowali skrzywdzić.

Dobre rady nie ustrzegły jednak dzielnej dziewczyny (miała wówczas 17 lat) przed ciężkim pobiciem przez owych śledczych plecionką z kabli. Udało się jej jednak wydostać z więzienia w Dęblinie. Ale jej koleżanka wywieziona została do łagru, skąd wróciła dopiero po wielu latach, częściowo sparaliżowana.

* * *

Po wyjściu z lasu "Kotwica" musiał zmienić dokumenty. A ponieważ akcent zdradzał jego kresowe pochodzenie, podawał się za "repatrianta". Zaczął się uczyć. Zdał maturę. Pojechał do Wrocławia, aby rozpocząć studia na wydziale mech.-elektr. Politechniki. Dość szybko jednak zmuszono go do odejścia. Udało mu się przenieść na architekturę, i te studia ukończył. Inwigilacja jego osoby stała się mniej dokuczliwa dopiero w latach 70-tych, po przeniesieniu się do Warszawy. Ale i tu musiał zmieniać pracę siedmiokrotnie. Wymówienia otrzymywał zawsze bez uzasadnienia, a adwokaci w Sądzie Pracy nie mogli się nadziwić dlaczego nie udaje się im przywrócić go do pracy, skoro zarzutów brak.

W III RP mgr inż. Tadeusz Czajkowski pełnił funkcję architekta wojewódzkiego w Ciechanowie. Był prezesem tamt. Okręgu ŚZŻAK i członkiem Zarządu Głównego w Warszawie. Ponadto wiceprzewodniczącym Woj. Rady Kombatantów i Osób Represjonowanych (w Ciechanowie). Słowem - działał zawodowo i realizował swoją pasję społeczną.

Posiada stopień Harcerza Rzeczypospolitej. Za udział w szeregach AK otrzymał Krzyż Walecznych. Przez Radę Ochrony Pamięci Walki i Męczeństwa w Warszawie odznaczony został 13 listopada 1993 r. "Złotym Medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej" – co osobiście oceniam jako szczególnie zaszczytne i piękne wyróżnienie.

W listopadzie 1996 r. przeniósł się na stałe do Brzegu, gdzie nie poddaje się jednostajnemu i biernemu życiu emeryta, ale jest ciągle czynny, pełen inicjatywy i zaangażowania społecznego. Stale coś organizuje, buduje, współdziała, upamiętnia... Na tym polu pracuje też sporo z młodzieżą, czym zasługuje na duże uznanie, bośmy naszą młodzież na tym odcinku zaniedbali, a zwłaszcza różne stowarzyszenia kresowe.

Nie brakuje mu w tym życiu działacza obok niewątpliwych satysfakcji – kolców oraz kłód stawianych na drodze, czy fałszywych ocen, ale taki to już los urodzonych społeczników, a już szczególnie i przysłowiowo w naszym Kraju.

- *Wszyscy uciekinierzy ze Skrobowa, których udało mi się spotkać po latach, ukończyli studia wyższe – stwierdza Tadeusz. – Czyżby władza w jakimś sensie wstydziała się aresztowania nas bez powodu i dlatego pozwolono nam się uczyć?*

A kim był i jaki los spotkał dowódcę “Wyklętych Żołnierzy” – “Orlika”? Był synem wiejskiego rymarza z Zalesia k. Ryk, absolwentem Liceum im. Księcia Czartoryskiego w Puławach i Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii w Zambrowie. We **wrzeźniu 1939 r.** walczył w stopniu podporucznika przeciwko Niemcom i Sowietom.

Był współorganizatorem ZWZ-AK w podobwodzie “A” (Ryki-Dęblin), szefem jego KEDYW-u, dowódcą utworzonego przez siebie lotnego oddziału partyzanckiego AK “Wilki” (1941-44). Oddział ten liczył od 6 do 280 ludzi. Po wkroczeniu w lipcu 1944 r. Armii Czerwonej dowodził zgrupowaniem partyzanckim wchodzącym w skład WIN i liczącym już 800 żołnierzy. Zyskało ono szeroki rozgłos brawurowymi akcjami zbrojnymi.

Był zwierzchnikiem wszystkich oddziałów WIN trwających jeszcze na terenie Inspektoratu Puławy. Władze PRL zorganizowały przeciwko nim około 2000 ludzi.

W odróżnieniu od innych dowódców antykomunistycznej partyzantki (“Zapory”, “Warszyca” czy “Łupaszk”) zginął jako człowiek **wolny**. Otoczony 24 czerwca 1946 r. na polach Piotrówka w pow. Garwolin przez grupę operacyjną UB, MO i KBW, zginął wraz z pięcioma swoimi żołnierzami. Ranny – poniósł śmierć z własnej ręki.

Mjr Marian Bernaciak “Orlik” zginął w wieku 29 lat. Więźniem stalinizmu został dopiero po śmierci. Jego zwłoki przewiezione do WUBP na Pradze, zostały wrzucone do dołu na Cmentarzu Bródnowskim wraz z innymi zabitymi żołnierzami AK-WIN. Na tym miejscu urządzono później **szalet**. Dopiero w 2001 roku, w 55 rocznicę śmierci “Orlika”, odsłonięto tam upamiętniający go pomnik.

Pamięć o “Orliku” – żołnierzu najbardziej wyklętym z wyklętych żyje – tam gdzie walczył – do dziś.

Tadeusz Hussak
Warszawa

W BUSZU ZAPOMNIANEGO CMENTARZA...

W “podróż sentymentalną” na Kresy wybrała się dziesięcioosobowa grupa “zakochanych w Podolu”. Głównym punktem podróży było poświęcenie odbudowanego kościoła w Skałacie, powiatowym mieście w dawnym województwie tarnopolskim.

Ale mnie i p. Antoniego Gołębiowskiego interesowała także możliwość spenetrowania okolic Podwołoczysk, miejsca naszego urodzenia. Ja, co prawda, urodziłem się w Zadniszówce, ale dzisiaj to po prostu przedmieście Podwołoczysk. Postanowiliśmy więc oderwać się od grupy po uroczystościach w Skałacie i pojeździć na własną rękę po znajomych okolicach.

Jeszcze w Warszawie powiedzieliśmy sobie, że gdy już będziemy w Podwołoczyskach, to wstąpimy do Supranówki by odwiedzić grób prawie zapomnianej u nas poetki – Kazimiery Zawistowskiej. O istnieniu grobu dowiedzieliśmy się z obszernego artykułu Z. Hausera – “Polskie groby na Kresach”, zamieszczonego w “Rocznikach Lwowskich 1992”.

Supranówka – to niewielka wioska odległa od Podwołoczysk o 4 km na zachód od miasta, w dolinie rzeki Samiec. Droga tu z Podwołoczysk marna, kamienista, przebiega obok śmietników miejskich. Wieś cicha, senna, domów tonących w zieleni prawie nie widać.

Zatrzymaliśmy się na placu przed cerkwią, położoną na wysokiej skarpie. Wdrapujemy się po stromych schodach na górę, aż do wrót świątyni. Jest zamknięta. Za nią widać gęszcz starego cmentarza. Panuje absolutna cisza, nie widać żywego ducha. Pan Antoni, zmartwiony kolejnym “buszem”, zaczyna wątpić czy damy sobie radę, ja wzywam do cierpliwości.

Mija kilka minut i na dróżce prowadzącej na cmentarz pojawia się jakiś mężczyzna. Wyjaśniamy mu skąd jesteśmy i czego szukamy. Tłumaczy nam z zakłopotaniem, że nie wie gdzie ten grób się znajduje, ale radzi poczekać, on zbiegnie do wsi i dowie się u kogoś ze starszych ludzi. Czekamy pod cerkwią, mija ze dwadzieścia minut, nasz informator wraca zadowolony. Prowadzi nas na zaplecze cerkwi i na pierwszym wzgórku, kilkanaście metrów od niej, pokazuje nam obelisk częściowo zasłonięty młodymi pędami drzewek.

Przypadkowy pomocnik chętnie pomaga nam wrywać młode pędy oraz bujną trawę. W końcu grobowiec zostaje oczyszczony. W trakcie

tych czynności opowiadamy zainteresowanemu mieszkańcowi wsi kto tu leży. A więc polska poetka, Kazimiera Zawistowska, która żyła i mieszkała w Supranówce pod koniec XIX wieku. Pisała piękne wiersze o Podolu i Rusinach, bo polubiła ten lud i te okolice. I chociaż zmarła gdzie indziej, kazała pochować się w Supranówce.

Na oczyszczonym grobowcu składamy z p. Antonim kwiaty. Razem z naszym informatorem stoimy jeszcze chwilę w milczeniu. Potem próbujemy odczytać tablicę nagrobną. Krótkie życie Poetki wyznaczają daty: 17 I 1870 – 28 II 1902 – trudno już czytelne, ale przecież to sto lat minęło.

Dobrze, że nie ominęliśmy Supranówki. Nasza tu obecność i te skromne kwiaty – to pomost pamięci przerzucony ponad całym wiekiem.

Dziękując serdecznie naszemu nieoczekiwanemu pomocnikowi, schodzimy powoli w dół, w stronę wsi. Oglądamy się jeszcze za siebie. Pomnik oczyszczony z gałęzi i krzewów widnieje wyraźnie na wzgórku. Zauważą go wszyscy, którzy znajdą się obok cerkwi, dopóki busz znowu go nie zasłoni.

We wsi podchodzimy do jednego z domów, przy sprzątaniu czy remoncie którego pracuje kilka osób. Nasza tu obecność budzi zainteresowanie. Powtarzamy to samo, co mówiliśmy na górze spotkanemu mężczyźnie. Na to jedna z kobiet rezolutnie odpowiada: *Jesli by my znały jakaja to pani tut spoczywaje, to my by pamiataly o jeji hrobi*. Dziękujemy za tę wypowiedź i ruszamy z powrotem do Podwołoczysk, a stąd do mojej rodzinnej wsi.

Jesteśmy pod wrażeniem tej krótkiej wizyty na cmentarzu. Obaj zgadzamy się, że problem wykracza daleko poza Supranówkę. W dzielnicach miast i miasteczek, w setkach wsi umierają na Kresach cmentarze. Na wielu z nich znajdują się groby ludzi zasługujących na to, aby pamięć o nich przedłużyć. Bo pamięć to miejsce w historii i w umysłach żyjących pokoleń.

Cmentarze, to szczególnie zapis historyczny, i dokumentacja działalności naszych przodków i osób bliskich, którzy tam spoczywają. To jedna z istotnych sił, które są bodźcem naszych (Polaków) podróży sentymentalnych na Kresy. Znane jest bowiem powiedzenie, że człowiek umiera dwa razy: pierwszy raz – gdy umiera faktycznie i jest składany do grobu, drugi – ostatecznie – gdy giną cmentarze.

Wracając do Supranówki: marzy mi się idea powiadomienia Rady Wiejskiej tej wsi, a za jej pośrednictwem mieszkańców, bardziej szczegółowo o tym co napisała Kazimiera Zawistowska i dlaczego tak pokochała Rusinów oraz piękną ziemię podolską, że pochować kazała się właśnie w Supranówce. Niech mieszkańcy tej cichej i zapomnianej wioski także mają powód do dumy. Marzy mi się również by o tym grobie pamiętali organizatorzy wycieczek z Kraju na Podole. Bowiem tak się układają

ludzkie zainteresowania, że jedni chcą oglądać ruiny zamków czy jaskinie gipsowe w Krzywczu, a inni wolą szukać historycznych polskich śladów na cmentarzach.

A że Supranówka leży na uboczu, że droga z Podwołoczysk marna i pociąg w niej nie zatrzymuje się – zostawmy to mieszkańcom. W rozwijających się kontaktach z Polską, ta naprawdę urocza wieś może zyskać sławę i zainteresowanie za sprawą grobu, który tak doskonale mieści się w naszych wspólnych, polsko-ukraińskich perspektywach współzycia.

Wiesław Barczyk
Warszawa

KAZIMIERA ZAWISTOWSKA POETKA Z SUPRANÓWKI

Zapomniana poetka Ziemi Podolskiej Kazimiera Zawistowska urodziła się u stóp “miodoborskiej puszczy, wśród białych wsi podolskich i przycerkiewnych cmentarzy” 17 stycznia 1870 roku w Rasztowcach, pow. skałacki. Córka doktora Henryka Jasieńskiego, uczestnika powstania styczniowego, później redaktora i publicysty “*Dziennika Lwowskiego*” i “*Gazety Narodowej*” oraz jego żony Albertyny z Torosiewiczów.

Za czynny udział w powstaniu Ojciec poetki uwięziony został w słynnym więzieniu Kufstein w Alpach austriackich. Odebrano mu także stopień uniwersytecki doktora.

Lata dziecinne spędziła Kazimiera w domu, w atmosferze wysokiej kultury duchowej oraz przywiązania do tradycji narodowych, religijnych i niepodległościowych. W domu pobierała początkowe nauki, które następnie pogłębiała na studiach w Szwajcarii i we Włoszech.

Po powrocie do kraju poślubiła Stanisława Zawistowskiego herbu Jastrzębiec, ziemianina podolskiego. Zamieszkała w majątku Supranówka położonym 4 km od Podwołoczysk, gdzie razem z mężem zajmowała się prowadzeniem gospodarstwa oraz wychowywaniem trójki dzieci.

Znudzona atmosferą wsi, bardzo często wyjeżdżała do Krakowa, gdzie poznała poetów związanych z “*Życiem*” i “*Chimerą*”. Zafascynowana poezją francuską tłumaczyła na język polski utwory Baudelaire’a i Verlaine’a. Obok tego tworzyła własne wiersze, które zamieszczała w czasopiśmie krakowskich.⁷

⁷ Stanisław Wyrzykowski - *Ver sacrum* - Poemat mojej młodości - Pamiętnik z zapisem biograficznym życia K. Zawistowskiej, napisany w r. 1947 (rękopis w Bibliotece Narodowej).

Monotonne życie na wsi ukształtowało we “wrażliwej marzycielskiej duszy” poetki poezję melancholiczną, opiewającą uroki ziemi stepowej, uwiecznionej kurhanami, pełnymi legendarnych wspomnień i nieokreślonych przeżyć.

*Z ognisk pastuszych bije blask czerwony
Złocą się iskry przez dymy przesiane
I słyhać głosy tęskne rozśpiewane
Rusińskich dumek rozetkane tony (...)
(Jesień)*

lub nostalgiczna tęsknota za niebem:

*Więc miłująca i umiłowana
Jak w glorię słońca szła w ogień dla Pana
Przez skry płomienne przeszła żarnych stosów
Do rozżłoconych różanych niebiosów
(Św. Agnieszka)*

Dlatego przez wielu krytyków określana była mianem “Chimeryczki z Supranówki”.⁸ Twórczość Kazimiery Zawistowskiej nosi cechy tak zwanej poezji młodopolskiej. Uważa się ją za jedną z pierwszych polskich poetek “kobięcych”. W wielu jej wierszach pojawia się także element prowokacji obyczajowej, zwłaszcza w sferze erotyzmu.

Zmarła śmiercią samobójczą 28. lutego 1902 roku w Krakowie. Pochowana została w Supranówce, na cmentarzu w pobliżu cerkwi, gdzie obecnie - mimo, że stara część cmentarza została prawie całkowicie zniszczona - zachował się obelisk na jej grobie z napisem: *Kazimiera z Jasieńskich Zawistowska ur. 17 I 1870, zm. 28 II 1902* oraz fragment jej wiersza o św. Agnieszce:

*Pan na jej duszę, jak na złotą harfę
Dłonie położył - i rzekł: Moją będzie (...)*

* * *

W końcu lipca 2002 r. dwaj członkowie Klubu “Podole” w Warszawie odnaleźli grób Poetki i w setną rocznicę Jej śmierci złożyli na nim kwiaty.

⁸ Zbigniew Hauser - Polskie groby na Kresach - *Roczniki Lwowskie* - Instytut Lwowski, Warszawa 1992 r.

Zbigniew Tomaszewski
Lubań

SPOTKANIE PO LATACH...

W tym roku, po raz pierwszy po wojnie, spotkali się 6 lipca we wsi Debrzyce k. Głupczyc – “Hłuboczanie”, tj. byli mieszkańcy Hłuboczka Wielkiego spod Tarnopola.

Organizatorami tego małego zjazdu byli: Władysław Chabin s. Piotra, Hanka Iskrzak z d. Chabin (oboje mieszkający w Debrzycach) oraz Helena Lis-Kuźmińska zam. w Pyskowicach na Śląsku. Nie ukrywam, że spotkanie zorganizowano na moją gorącą prośbę, wyrażoną jesienią ub. roku podczas odwiedzin kolegi Władka Chabina. Niestety, ze wszystkich wysiedlonych tu z Hłuboczka ludzi żyje w Debrzycach już tylko 8 osób. Spotkaliśmy się trochę za późno...

Hłuboczek Wielki – była to wieś gminna, odległa od Tarnopola o 9 km, pierwsza stacja kolejowa w kierunku na Lwów. Zawsze intrygowała mnie nazwa – dlaczego Wielki? Czy dlatego, że wieś była rzeczywiście duża, już w 1921 r. liczyła 407 gospodarstw, czy żeby odróżnić go od innego Hłuboczka⁹, nie tak dużego?

Był w Hłuboczku Wielkim mały kościół rzym.-kat. (należący do parafii Tarnopol), a obok duży park z pałacem hr. Platiera. Była cerkiew grek.-kat, szkoła powszechna, Dom Ludowy i obok sklep spożywczy. Ze stacji kolejowej dojeżdżała młodzież pociągiem do szkół w Tarnopolu.

Nasz zjazd odbył się właściwie w Głubczycach, w zarezerwowanej na ten cel restauracji należącej do kogoś z rodziny Hłuboczan. Przyjechało (z całej Polski) ponad 30 osób, niektóre z rodzinami. Rozmowom nie było końca. Ja – jako jedyny w tym gronie Sybirak – opowiedziałem krajanom o swoim 6-cio letnim tam pobycie i wyjaśniłem, dlaczego spośród 1.300 osób w transporcie powróciło do domu niecałe 300 osób, tj. około 13%.

Ani się spostrzeżliśmy, jak nadszedł wieczór i trzeba było wracać do domów. Wszyscy żalowaliśmy, że spotkanie trwało tak krótko i obiecaliśmy sobie spotkać się znowu za rok.

Wykonałem bardzo wiele zdjęć. Posyłam dwa – jak wyglądaliśmy w roku 1939 i jak wyglądamy obecnie, w roku 2002.

⁹ Istniała zasada, według której starszej wsi dodawano przymiotnik “Wielki” zaś “Mały” dla później powstałej. Hłuboczek Mały znajdował się w pow. zbaraskim. (Przyp. Red.).

Mieczysław Dec
Rogoziniec

CZY TO BYŁ ZEW POLSKIEJ KRWI?

W lutym 1958 roku postanowiłem odwiedzić rodzinne strony mojej żony – Humienowszczyznę w pow. Stołpce, woj. nowogródzkie. Sam pochodzę z woj. tarnopolskiego. Żona opuściła dom rodzinny w 1946 roku, uciekając przed wywiezieniem jej do Baku. Pobraliśmy się w roku 1949. Na Białorusi pozostała najbliższa rodzina żony – matka, trzy siostry i brat, którzy mnie nie znali.

Ze stacji kolejowej w Stołpcach odebrali mnie dwaj szwagrowie i wynajętym samochodem przywieźli do odległej o 20 km Humienowszczyzny. Czekano tam z zaciekawieniem, jaki to zięć i szwagier przytrafił się rodzinie. W czasie powitalnego przyjęcia stwierdziłem, że zostałem zaakceptowany. Po tygodniu poznałem sąsiadów i dalszych krewnych żony.

Pewnego dnia powiedziałem szwagrowi, że chciałbym zwiedzić na rowerze okolicę, a szczególnie interesuje mnie teren na skraju Puszczy Iwienieckiej, gdzie Niemcy spalili 40 wiosek by stworzyć blokadę dla przebywającej w puszczy partyzantki, złożonej z Rosjan, Polaków i Żydów.

Tego dnia dojechaliśmy do Bryniczewa na skraju puszczy. Mieszkała tu z rodziną Wiktoria, jedna z sióstr mojej żony. Jej mąż polował w puszczy i pracował w kołchozie przy koniach. W Bryniczewie znajdowały się wówczas tylko cztery drewniane budynki: suszarnia Inu, stajnie dla koni, chata szwagra i jeszcze jedna mała chatka z drewnianych bali. Pozostali mieszkańcy wsi gnieździli się w ziemiankach. Byli to przeważnie Polacy pochodzący ze szlachty zaściankowej.

Wieczorem przyszli do szwagra sąsiedzi z dziećmi przywitać gościa z Polski. Zgotowali mi prawdziwie polskie przyjęcie, ze szczerą staropolską gościnnością. Wypytywano, jak żyjemy w Polsce po wojnie, jak zagospodarowała się wypędzona z Kresów ludność, jaki panuje nastrój i czy ludność kresowa wróci z powrotem w swoje rodzinne strony?

Na wszystkie te pytanie odpowiadałem szczerze, a po zapoznaniu się z warunkami bytowania radziłem, by porzucili tę biedę i wyjechali do Polski. Tłumaczyłem, że nawet w naszych PGR-ach ludzie żyją lepiej niż tu, w rodzinnych stronach. Właśnie teraz jest dogodny moment, bo nasz

minister Popiel przebywa w Moskwie i załatwia sprawy “repatriacyjne”. – *Widzę was i wasze dzieci – mówiłem – mieszkające w ziemiankach, niekiedy głodujące, bo o chleb jest u was trudno. Żywiecie się tylko tym co upolujecie. – Jak długo można tak żyć?*

Na to jeden z przybyłych odpowiedział mi piękną polszczyzną: *My stąd nie wyjedziemy. Tu żył mój dziadek, mój ojciec, i żyję ja z córkami. Tu żyjemy i umrzemy na naszej, nie na cudzej ziemi. Bo kiedy my tę ziemię opuścimy, to ona już nigdy nie będzie polska.*

Słuchałem jego słów i łzy pojawiły się w moich oczach. Jak głęboki patriotyzm przemawiał przez tego człowieka. Nie miał domu, nie miał chleba, dzieci odziane w jakieś wełniane samodziały, blade, niedożywione, on sam chudy i zniszczony, a swojej ziemi nie opuści, bo ona nasza, polska.... Czy dziś w Polsce znalazłbym takiego człowieka?

* * *

Na drugi dzień pojechaliśmy ze szwagrem do miejscowości Derewnoje. Niby miasteczko, a właściwie duża osada. Sztuczne jezioro, piękne boisko do piłki nożnej, bania (łaźnia), kościół rzym.-kat., duży cmentarz (a na nim groby rodziców i siostry Trockiego), szkoła – dziesięciolatka, MTS (odpowiednik naszego POM-u) i inne instytucje radzieckie.

Zainteresował mnie MTS. Poprosiłem wicedyrektora o pozwolenie zwiedzenia go. Wyraził zgodę i przydzielił mi na przewodnika – brygadzi-
stę warsztatowego, Polaka p. Jankowskiego. Przechodząc przez gigantyczny plac zastawiony sprzętem rolniczym i traktorami, przeznaczonymi do przeglądu technicznego czy remontu, stwierdziłem ogromne niedbalstwo i marnotrawstwo, co wyraziłem głośno aby słyszał to mój przewodnik. To samo widziałem w warsztatach i także głośno krytykowałem. Mój przewodnik słuchał, przyglądał mi się i... milczał.

Kiedy zobaczyłem na placu dużą lokomobilę parową, do której palacz ładował metrowe polana dla uruchomienia tokarki, żeby wytoczyć jakąś potrzebną śrubkę, zapytałem:

- *Ile ten palacz spala dziennie drewna?*

- *Okolo 15 m?* – Było to dla mnie już szczytem marnotrawstwa i głośno wyraziłem tę opinię.

Kiedy żegnałem się z brygadzi-
stą, ten zwrócił się do mnie po polsku z propozycją spotkania, ale prywatnie, gdzieś poza MTS-em. Zgodziłem się. Ustaliliśmy miejsce i czas: niedziela, godz. 11-ta, w Humie-
nowszczyźnie u Sawera.

Zwierzyłem się z tego szwagrowi, a gdy mu powiedziałem u kogo mamy się spotkać, szwagier bardzo się zdziwił, a potem przestraszył. Ostrzegł mnie, że nie powinienem iść na to spotkanie, bo może mnie spotkać coś złego za krytykowanie pracy w MTS-ie. Dowodziłem, że nie

mogę złamać danego słowa. Wówczas szwagier wyjaśnił, że ów pan, chociaż Polak, jest wielkim komunistą. Ludzie boją się go, ponieważ współpracuje z NKWD. W końcu zdecydował, że pójdzie na spotkanie ze mną, żeby mnie powstrzymać “od mówienia głupot”.

W wyznaczonym na spotkanie mieszkaniu przygotowano już małe przyjęcie – wódkę, zakąski, “czaj” z samowaru. Był tam mój przewodnik z MTS-u z żoną i jego kolega z żoną, była też “harmoszka”, na której grał gospodarz. Po wychyleniu kilku szklaneczek wódki gospodarz przeprosił towarzystwo oświadczając, że chciałby jeszcze porozmawiać ze mną sam na sam. Przeszliśmy do innego pomieszczenia, gdzie opowiedział mi swój życiorys. Jak wstąpił do Komsomołu, a później do partii, jaką mieli w domu biedę (było ośmioro dzieci), i jak potem poszedł do wojska i został przydzielony do ochrony obozu jenieckiego w Kazachstanie, w którym przebywało 110 tysięcy jeńców różnej narodowości.

Gdy opowiadał o życiu jeńców w tym obozie, głos mu się łamał ze współczucia. Na samym wstępie zaznaczył, że jest to “wielka wojenna tajemnica” i nie wolno nikomu o niej mówić. Powierza mi ją, bym dopomógł jednemu z jeńców wyrwać się z tego piekła, albo przynajmniej powiadomił rodzinę w Polsce, że jeszcze żyje.

Zapewniłem mojego rozmówcę, że tajemnicy dochowam i wiadomość przekażę. Wtedy polecił mi zapisać (*najlepiej na paczce papierosów*) nazwisko jeńca, adres jego rodziny i adres obozu. Miałem więc powiadomić **Władysława Bieńko w Siemiatyczach, że jego brat Bolesław żyje, przebywa w obozie jenieckim w Kazachstanie i prosi, jeżeli to możliwe o przysłanie jakichś dokumentów stwierdzających, że jest Polakiem.**

A oto dalsze informacje, które mi przekazał: raz w miesiącu przyjeżdżał do obozu listonosz z pocztą, którą w całości musiał oddawać naczelnikowi. Żaden jednak list do rąk jeńca nie docierał, ponieważ wszystkie były palone po przeczytaniu przez służbę obozową. Wiedząc o tym procederze, listonosz chował od czasu do czasu jakiś list za cholewą buta i oddawał go byle jakiemu jeńcowi, a ten z kolei doręczał adresatowi. Wśród jeńców była bowiem ogromna solidarność, i to bez względu na narodowość. Za przemykanie listów listonosz otrzymywał od jeńców wynagrodzenie pod różną postacią, niekiedy nawet drogie wyroby ze szlachetnymi kamieniami. Strażnicy obozowi byli w zмовie z listonoszem i także otrzymywali od jeńców “upominki”.

Do 1956 roku jeńcy nie wiedzieli wcale, że wojna już się skończyła, ani jak wygląda nowy podział Europy. Dopiero gdy listonosz zaczął przemycać do obozu listy, jakieś nikłe informacje o świecie do nich dochodziły. Strażnicy obozowej nie wolno było oczywiście z jeńcami rozmawiać, ale niekiedy udawało się im pozyskać przychylność któregoś ze strażników, choć było to ryzykowne dla obydwu stron.

Spec-służba obozowa, psychologowie i dochodzeniowcy pilnie obserwowali swoich "podopiecznych", znali ich zawód i wykształcenie, orientowali się do czego każdy z nich może być przydatny. (W tej masie ludzi było przecież wielu specjalistów z różnych dziedzin). Kiedy wytypowany przez nich jeniec był już dokładnie przefiltrowany, otrzymywał od naczelnika propozycję pracy w swoim zawodzie a równocześnie propozycję przyjęcia sowieckiego obywatelstwa, zwolnienia z obozu i pracy "na wolności" we wskazanym miejscu (oczywiście bez prawa opuszczania ZSRR, jak i miejsca pracy).

Jeśli jeniec odmówił tego "przywileju", doznawał szykan i kar obozowych, pobytu w izolatce, a nawet w celi śmierci głodowej. Takie praktyki stosowane były codziennie na kilku lub kilkunastu ludziach.

Memu rozmówcy, gdy to mówił, łamał się głos i oczy zachodziły łzami. Obaj zresztą nie mogliśmy powstrzymać łez. A opowiadał mi ze szczegółami jakich to przewrotnych metod i tortur psychicznych używano dla złamania jeńca i wymuszenia na nim zgody przyjęcia proponowanej pracy i sowieckiego obywatelstwa.

A oto jeden z przykładów kary dla ludzi, na których władzom szczególnie zależało, a których nie udało się "przekonać" łagodniejszymi, fizycznymi czy psychicznymi karami, czym zasłużyli sobie na umieszczenie "w celi śmierci głodowej".

Pomieszczenie to było dokładnie wyczyszczone, prycza lepsza od innych w obozie, było też krzesło i stolik. Można było pisać zażalenia i swoje wspomnienia oraz listy do rodziny. Ale dzienną rację żywnościową stanowiła połowa porcji chleba otrzymywanej dotąd w obozie i kubek czystej wody. Nic poza tym.

Do celi codziennie przychodziła dobrze zbudowana "barisznia" i sprzątała ją "na połysk". Rozmowa ze sprzątaczką była zabroniona. Kiedy zabierała się do porządków, zdejmowała kufajkę i prawie że obnażała swoje kobiece wdzięki.

Głodny więzień przyglądał się pracy energicznej kobiety i pragnął nawiązać z nią kontakt, ale ona milcząco dawał mu znaki, że nie wolno. Po 5-6 dniach więzień był już bardzo wygłodzony. Ta sama sprzątaczką wykonywał nadal swoją codzienną pracę w celi. Kiedy dostrzegła, że więzień był gotowy połknąć z głodu nawet ją samą, wyciągała z kufajki dość pokaźny kawałek chleba, wpychała do rąk skazańca, który go łapczywie chwycił i chował, a później zjadał. Od tego dnia sprzątaczką codziennie przynosiła schowany w kufajce chleb i dokarmiła jeńca. Pochylała się nad nim i mówiła szeptem, że nie da mu umrzeć z głodu, a więzień nabierał do kobiety zaufania... Urzędowe racje chleba stawały się jednak z każdym dniem mniejsze i przychodził termin, kiedy – zgodnie ze wskazaniami medycyny – jeniec powinien był już umrzeć. Tymczasem żył, a nawet nieźle się czuje. Zaczyna się nowe śledztwo mające na celu

wyjaśnić ten przypadek. Biedak nie przyznaje się, że był dokarmiany, ponieważ wie, że i on i kobieta ponieśliby za to surową karę. Żal mu kobiety, która go ratowała, więc milczy. Sprzątaczką nadal dokarmia go chlebem, niekiedy przynosi nawet kawałek słoniny. Mija miesiąc, śledztwo niczego “nie wykryło”. I wówczas władze obozowe wchodzą do celi właśnie w tym momencie, gdy sprzątaczką podaje więźniowi chleb. Teraz jest wszystko jasne!

. Zaczyna się drugi akt wyreżyserowanej tragi-komedii. Władze obozowe pytają jeńca czy lubi kobietę, która go dokarmiła. Tak, (no bo jak okazać niewdzięczność?).

Z kolei pytają kobietę, czy zrobiła to z sympatii dla więźnia? Tak, oczywiście! A więc znaleziono przyczynę – “lubow!” Trzeba im zatem zgłosić się do ZAGS-u (Urzędu Stanu Cywilnego) i zawrzeć związek małżeński. W przeciwnym razie oboje zostaną skazani na karę śmierci głodowej i nikt ich już nie ocali.

Z chwilą podpisania aktu małżeństwa, jeniec stawał się automatycznie obywatelem Związku Radzieckiego, dostawał nakaz pracy zgodny ze swoim zawodem, i w miejscu wskazanym przez władze. Żyje razem ze sprzątaczką kilka lub kilkanaście dni, potem zostają rozłączeni. On wyjeżdża do przydzielonej mu pracy, a ona nadal “ratuje” od śmierci głodowej kolejnych upatrzonych skazańców.

Mój rozmówca, który 3 lata był strażnikiem w obozie i patrzył na to piekło po zwolnieniu go z wojska nie mógł nikomu przekazać tych informacji (z przyczyn wszystkim nam dobrze znanych). Aż spotkał Polaka, którego polubił i któremu zawierzył. Zwierzenia te przekazywał mi do późnych godzin nocnych.

Czy nie można tego odruchu “komunisty” uznać za zew krwi? Zew polskiej krwi? Bo ja tak to odczuwam...

* * *

Kiedy po miesięcznym pobycie na Białorusi wróciłem do domu, jeszcze tego samego dnia poszedłem na pocztę, aby w książce adresowej odnaleźć podaną mi miejscowość. Udało mi się także odnaleźć potrzebny adres w okolicy Siemiatycz i natychmiast napisałem list do p. Władysława Bieńko. Wkrótce otrzymałem listy: od Władysława, od siostry Rozalii i matki Bolesława. Ogromnie byli uradowani wiadomością o synu i bracie, którego uważali już za zaginionego. Korespondowałem z rodziną Bieńko prawie dwa lata. Pouczałem, jak mają pisać listy do tego obozu jenieckiego i jakie wysłać dokumenty poświadczające, że Bolesław jest od urodzenia Polakiem.

Po dwu latach udało się wyrwać Bolesława z obozu. Był też jakiś telefon z Litwy do brata Władysława, że Bolesław jest bardzo chory. Po

tym telefonie ślad urwał się i korespondencja moja z tą rodziną urwała się także.

Pamiętam, że p. Władysław Bieńko miał dwóch dorastających synów, kończących wówczas szkołę średnią. Może jeszcze żyją i pamiętają tamten czas i naszą korespondencję? Może wiedzą, co się stało z ich stryjem Bolesławem?

I ja chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej...

Jarosław Kurski
(Przedruk z "Gazety Lwowskiej")

POWROTY. KOSZYŁOWCE¹⁰.

Gdy po 50 latach władzy radzieckiej Anna Maria Modzelewska przyjechała wraz synami do rodzinnego majątku na Podolu, prócz wdzięcznej pamięci mieszkańców nie odnalazła niemal niczego.

We wrześniu 1939 r. do wsi KOSZYŁOWCE (8 km na pół-wschód od Jazłowca) wkroczyli Rosjanie. W majątku stacjonowało sowieckie wojsko; dwór został splądrowany, zapasy zjedzone, dobytek zarekwirowany. W sąsiednich POPOWCACH, postrzelony dziedzic Jakubowski, cudem uszedł z życiem. W LATACZU pan Krasnowolski zniknął bez wieści. Los żony i dwóch córek porucznika Wielowieyskiego z DROHICZÓWKI, wywiezionych pod jego wojenną nieobecność, pozostaje nieznanym. Podobnie jak i księżnej Lubomirskiej z oddalonego o kilka kilometrów CZERWONOGRODU.

Po południu Rosjanie byli już wszędzie tam, gdzie jeszcze rano był polski Rząd, Prezydent i Wódz Naczelny.

W październiku 1939 r. babka Niemirowska, matka Modzelewska i jej dwie córki – Klara i Anna – na trzech furach, odprowadzane przez pół wsi, uchodzą do Lwowa. Do samego celu towarzyszyło im kilku koszyłowieckich chłopów.

Błotnisty, mokry październik 1992 roku. Z Gdańska na Podole droga daleka. W ukraińskim autobusie Warszawa-Lwów działało tylko to, co niezbędne. Wszyscy dzwonili zębami, ale nikt nie zapytał o ogrzewanie. Radziecki człowiek brał rzeczywistość taką, jak była, cieszył się z tego co ma. Natomiast bolszewicki żulik-kierowca wynajętej pod dworcem lwowskim taksówki, jeździł po dziurach bez dbałości o państwową "wołgę". Umowa – 350 km jazdy, od ósmej do ósmej – "sorok dolarów". O nic nie pytał, przeliczał tylko czas i pieniądze. Wracając zgubił drogę, przeklinał, spóźnił się do Lwowa i żądał więcej pieniędzy. Gdy nie otrzymał dodatkowego wynagrodzenia, krzyczał i wygrażał: *Bolsze siuda nie prijezzaj-tie!*

Ziemia na Podolu jest czarna jak węgiel. Co rusz straszyły przy drodze szpetne wyrobiska, rany zadane ziemi dla pozyskania żwiru lub kamienia. Droga nierówna, źle oznaczona. Wszędzie zalega błoto, które klei się do butów.

¹⁰ Pow. Zaleszczyki, woj. tarnopolskie. (Przyp. Red.).

Koszyłowieckie zabudowania folwarczne zaginęły w księżycowym krajobrazie kołchozu, w gąszczu porzuconych, pordezwiątych maszyn w szpetnych przybudówkach.

Komunizm odcisnął na kołchozowych twarzach antropologiczne piętno. Twarze w połach uszatyh czapek, przygniecione daszkami nasuniętym na oczy, owinięte watowanymi kołnierzami – to twarze ciemne i pospolite. W Koszyłowcach łagodną powierzchowność, szlachetność i dostojność oblicza zachowali jedynie ludzie starzy.

Kołchoźnicy patrzą nieufnie na wysiadających z taksówki przybyszów. Matkę i dwóch synów otacza coraz szerszy wianek walonek, waciaków i uszatek. Ciżba długo przypatruje się fotografiom. Słuchają, naradzają się, zbliżają głowy. Wskazują opuchłymi palcami na jar za dworem widoczny na fotografii. Wreszcie wydają werdykt: *Pidety z namy!*

- *Tu buw jar, a tu dom* – mówi jeden. Przez środek zrównanego z ziemią dworu biegnie droga. Traktory kolebią się na sterczącym w rozjeżdżonym błocie uskoku fundamentu. Moc sowieckiej destrukcji nie ominęła Koszyłowiec. To, co kiedyś było płaskim jak talerz gazonem – dziś jest pagórkowatą pochyłością dźwigającą masywny pomnik wdzięczności “Krasnoj Armii”. Betonowy napis pod muskularną statuą radzieckiego frontowca głosi: *Nikogda nie zabudiem naszych pogib-szych.*

Stawy – to dziś wyschłe koryto i rozjeżdżona grobla, park – z rzadka ocalałe drzewa. Nie ma stajni, sadu, ogrodu, kamiennych ławek, nie ma altany, huśtawek. Po dawnym parku powłóczy nogami brudna, wymęczona krowa. Głaz z mottem: *Lepiej zginąć niżli żyć w niestawie* – wyrzekł książę Józef Poniatowski w batalii pod Lipskiem, 19 października 1813 r. – pozostał już tylko na fotografii, którą kobieta od krowy obraca teraz w brudnej dłoni.

Ja niczego ne baczyła – komunikuje. Nie ocalały nawet kamienne schody. Pozostał spichlerz, zamieniony na kołchozowe warsztaty, z którego dziś wyzierają wraki traktorów.

W chacie starego Kucego czas się zatrzymał. Wszystko jest takie jak było przed wojną. Piec chlebowy na pół izby, stół, święte obrazy. Skromnie ale czysto. Kucy powoził bryczką, przez 8 lat w służbie pańskiej zajmował się końmi. Teraz już piąty rok leży przykuty do łóżka. Kucy słabo słyszy i mówi z największym trudem. Ogląda z uwagą fotografię.

- *Ja znaju ceji dwa koni, to Emil i Dorka* . – Płacze.
 - *To dziedziczka Anusia Modzelewska* – Krzyczy Wasyl Danielewskyj, którego ojciec, jak mówią, był “wiernym” (zaufanym) dziedzica Tadeusza Modzelewskiego. Powierzano mu poważne obowiązki. Należało do nich kupowanie koni .

- *Anna! Dajcie, ja was pocituju* – dźwiga się z pościeli Kucy.
- *A de Klarunia?*
- *Siostra zmarła. Wszyscy zmarli, tylko ja zostałam.*
- *A ce chto?* – wskazuje Kucy na dwóch chłopaków koło matki.
- *To moi synowie.*
- *Chto?*
- *Syny koszyliwśkyj dziedziczki* – krzyczy Wasyl.

Przez 5 lat nie działo się u Kucego tyle, ile wydarzyło się przez tę jedną godzinę niedzielnego październikowego popołudnia 1992 roku. Jak w malignie powróciła przeszłość, o której myślał, że został jej ostatnim świadkiem. Kucy obserwował co rusz uchylające się drzwi i wsuwające się do izby postacie: Makary Fedorownej, Anny Iwaniwnej, Gławy Selegowicz i innych.

Drzwi skrzypiały. Wchodził rządca Melnik, który dziś spoczywa obok Tadeusza Modzelewskiego, właściciela Koszyłowiec. Wchodził Petrow, który ryzykując życie, odwoził panie do Lwowa, wchodziła zmarła tam Małanka Storoż – najdroższa niania.

Długo jeszcze Kucy będzie rozmyślać. Pamięć ma dobrą. Tylko on pamięta, że dwór kupiony został w 1910 roku od hrabiego Mieczysława Pienińskiego.

- *To był wetykij pan, ekscelencja, deputat austrijskiego parlamenta* – krztusi się Kucy.

Wpada filigranowa Makara Fedorowna, połyskuje złotymi zębami, wyznaje przez łzy:

- *Mene ciotka w sukni z waszych lalok odiahała. Ja zowsim buła mała.*

Pani Teodora Modzelewska była etnografem. Do dworu przychodziły kobiety i wyszywały ukraińskie hafty. Jej córka wyciągnęła teraz zawiniątka ocalałych szmatek, serwetek, krajek. Chłopki podchodzą do okna, oglądają.

- *Ja znaju, ja buła u pani, ja wyszywała taki serwetki, znaju, znaju* – mówi Irena, siostra Małanki Storoż. Irena 13 lat spędziła w gułagu. Wywieziono ją w 1949 r. za pomoc UPA.

- *Jak chto prijszow do chaty, to ja ne widmowlała. Wsi tak robyły. Partyzany wsi zwidsy buły.*

- *Bohato ludej z Koszyliwec w gułag wziały* – mówi Wasyl. Ogląda fotografię z uroczystości winobrania w Zaleszczykach w roku 1937. Rozpoznaje twarze trzech młodzieńców stojących u zaprzęgu w ukraińskich strojach.

- *Wony wsi pomerły. Toho ubyły, Rosijany ubyły. Ni, win ne buw w UPA* – zaprzecza – *no zarizały... U nas trudno buło!*

Wiadomo, że pół wsi pomagało UPA. Jednak, gdy nawet dziś o to zapytać nikt się nie przyzna. Za samo słowo szło się na zesłanie. Mirek, syn upowskich zesłańców, nieświadomy zestawienia barw przyszedł raz do szkoły w niebieskich dżinsach i żółtym swetrze. “Polityczna manifestacja” skończyła się przesłuchaniem i relegowaniem Mirka ze szkoły.

Wasył był na pogrzebie pana Tadeusza Modzelewskiego.

- *Ja pamiataju wsio. Chto ne buw? Wsi buły, ciłe seło buło. Trumnu ciłyj czas nesły. Sperszu pany, a od cerkwy do kładowyszczu fernali. Tam wysoko, pany by rady ne dały. Ja wsio pamiataju.*

Dziedzic dostał nagłego ataku i mimo, że we dworze był samochód i telefon, lekarz ze Lwowa nie przybył na czas. I całe szczęście – potakuje Wasył – że pan nie doczekał 1939 roku.

- *Pan nikoty ne wyjichawby do żodnoho Lwowa. Tut by znajszow smert’.*

Śmierć – brama życia, która jemu, człowiekowi XIX wieku pozwoliła zabrać do swojej ziemi własny świat. Gdy umierał, mówił: *Ja tu będę leżał i patrzył na was z góry, na Koszyłowce*. I nie wiedział, jak dobrze że nie wiedział, iż wraz z nim kończy się epoka, a nadchodzi nowa, w której nie ma dla niego miejsca, ani prawa do życia. W której nie ma sacrum. Nie wiedział, że za 5 lat nie będzie już dworu, że w 1942 roku Berezowskiego – koszyłowieckiego wójta – przepiłują na pół, a rodzinę spalą żywcem, że obok, w Lataczu nad Dniestrem jednej tylko nocy, z 15/16 stycznia 1945 r. zginie 60 Polaków¹¹, mordowanych całymi rodzinami, topionych w studniach, palonych na strychach, marznących nago w zaspach. Nie wiedział, że z tej ziemi nikt nie pozbiera trupów, że rozkładać się będą aż do wiosny. To, co miało dopiero nastać, nie dawało się porównać z tym, czego już doświadczył.

Pierwszy majątek w Kudryńcach skonfiskowali carscy za udział dziada Tadeusza – Ignacego – w powstaniu 1831 r. Drugi – Skotyniany koło Kamieńca Podolskiego – został za Zbruczem po Traktacie Ryskim. Tadeusz zmarł w 1936 r. Koszyłowce przepadły w 1939. Dlatego Tadeusz musiał umrzeć pod błahym, byle jakim pretekstem na atak ślepej kiszki w maju 1936 r.

Czasy się wypełniają, zbliża się na wiekowym zegarze godzina, która rzecze: “precz stąd człowieku!” Kto wie, czy w ostatniej godzinie będę mógł myśli zebrać, ażeby wypowiedzieć Wam wszystko jak bym tego pragnał – napisał w testamencie Tadeusz. Nie dokonał żadnej dys-

¹¹ W “Petruniu ne ubywaj mene” Cz. Blicharskiego podano na str. 153-154 70 nazwisk zamordowanych. Ofiar było znacznie więcej. A na str. 157 podano: “Kilkanaście osób ukrywało się w piwnicy ukraińskiego księdza, za jego wiedzą. Pomógł on w zorganizowaniu ukraińskich furmanek (gdy jego służba doniosła banderowcom o ukrywających się), które odwoziły Polaków do Tłustego”. (Przyp. Red.).

pozycji materialnej. Testament dotyczył wyłącznie spraw duchowych i pamiątek rodzinnych. (...) *Pozostawiam Wam szablę pradziadowską z napisem greckim i wizerunkiem Matki Boskiej z Dzieciątkiem, dalej pas słucki, pergaminy tyzczące naszego rodu i zasług Pradziada Waszego Justyna, jak też order Jęgo z wojen napoleońskich i powstania w 1831 roku.*

Szkatułka ze starego kocza zawiera różne korespondencje rodzinne, dębowa zaś – to połowy skarbiec Konfederatów Barskich, których skarbnikiem był egzekutor Modzelewski, stryjeczny brat Ignacego, stolnika sanockiego. Najcenniejszą i najdroższą pamiątką są pamiętniki dziada Narcyza, które zawierają całą historię wieku XIX, tak rodziny naszej jak i ruchów narodowych. Polecam te pamiątki drogie memu sercu Waszej starannej opiece, tj. żeby były przechowywane w bezpiecznym miejscu i chronione w razie jakich wypadków...

Ale mimo przeczuć i zaklęć Tadeusza Modzelewskiego, w 1939 roku żadne z miejsc na podolskiej ziemi nie było dość bezpieczne. Z wyjątkiem cytowanego testamentu nie ocalało nic (...)

Cmentarz leży za wsią na górcie. Tadeusz patrzy na dwór, którego już nie ma. Wasyl prowadzi. Przeciska się przez gęsto utkane wiejskie groby. Pokazuje laską zarośnięte chwastami miejsce.

- *To tu!* – powiada – *tu jest dwie trumny. Metalowu w dubowu pokłali*

- *A gdzie krzyż?*

- *Chrest upaw, dubowyj buw, upaw!*

Jęgo zgniły, 4-metrowy szkielet leżał opodal. Tadeusz pochowany jest w tymczasowym grobie. Teodora Modzelewska nie zdążyła przemieścić trumny męża do nowego grobowca, który ciągle czeka na powtórny pogrzebowy procesję całej wsi, na mistyczny rytuał spóźniony o 56 lat. Gdy zmarł ojciec Anna miała 6 lat, a jej siostra Klara 11.

W sieni starego Kucego jest gęsto od ludzi.

Siedziałyśmy tutaj półtora miesiąca, dopóki Rosjanie nie zjedli wszystkich zapasów – opowiada Anna. – Nikt nas nie wyganiał.

- *Ale Rosjany chciały roztrilały. Todi ludy z seła skazały, szczo pani buła dobra – opowiada Wasyl. – Bo na Popiwciach¹² to pana Jakubowskiego roztrilały.*

- *Wsi howoryły, szczo pani buła taka jak ridna mama – wtrąca Makara Fedorowna.*

- *Pani bidy zaznała, duże, duże – powiada inna.*

- *Mamo, nie trzeba płakać.*

¹² Popowce pow. zaleszczycki. (Przyp. Red.).

- *Jak ja umrę, to ja tutaj będę leżała, w tym grobie co mój ojciec. Już powiedziałam to dzieciom. Wszystko przez tę wojnę. Ja tylko tu chcę leżeć. Nie mogłam tu żyć, to chociaż martwa tu pozostanę!*

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Śp. Tomasz **DOMARADZKI**

ur. 28.04.1918 r. w Czabarówce pow. Kopyczyńce.

Zmarł 18.08.2002r. w Szpitalu Nr 3 w Gliwicach. Pochowany 22.08 na cmentarzu w Łabędach.

Odszedł człowiek prawy, szlachetny, skromny i pracowity, gorący patriota i Kresowiak. Kombatant.

Małżonek naszej koleżanki gimnazjalnej. Serdeczne wyrazy współczucia składają

Czortkowie

Śp. pułkownik Tadeusz **KĘDZIERSKI**

ur. 19.06.1919 r. w Turylczu pow. borszczowski.

Sybirak, kombatant, zasłużony wieloletni szef Centralnej Biblioteki Wojskowej. Zaangażowany członek Klubu "Podole". Zmarł 30.09.2002 r. w Warszawie, pogrzebany 7.10 br. na cmentarzu Komunalnym Powązki (d. wojskowy).

Żegnają Go z żalem Zarząd i Członkowie Klubu.

SPIS TREŚCI

Irena KOTOWICZ Pamięci żołnierzy września. 9. Pułk Ułanów Małopolskich na wojennym szlaku. Cz. II.....	1
Tadeusz SWINECKI Nie odnalazłem Puźnik na Podolu. Wspomnienia. Cz. V (ostatnia).....	5
Zbigniew KRATOCHWIL Zagłada polskiej wsi Huta Pieniacka	9
Wiesław BARCZYK Poświęcenie kościoła p.w. św. Anny w Skałacie woj. tarnopolskie, w dniu 26 lipca 2002 r.	12
Irena KOTOWICZ "Żołnierze Wyklęci".....	15
Tadeusz HUSSAK W buszu zapomnianego cmentarza	19
Wiesław BARCZYK Kazimiera Zawistowska poetka z Supranówki	21
Zbigniew TOMASZEWSKI Spotkanie po latach.....	23
Mieczysław DEC Czy to był zew polskiej krwi?	24
Jarosław KURSKI Powroty. Koszyłowce	30
Z ŻAŁOBNEJ KARTY.....	35